

Adam Wojciechowski

Dzień powszedni adwokata zespołowego

Palestra 7/10(70), 58-61

1963

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

rych będzie się miała opierać nowa organizacja zespołów, od tego bowiem zależy rezultat reformy.

II

ADAM WOJCIECHOWSKI

Dzień powszedni adwokata zespołowego

Zespół nasz mieści się w gmachu sądowym, niegdyś kamienicy czynszowej. Na parterze dwie sale rozpraw z dodatkowymi pomieszczeniami jak pokoje narad, poczekalnia dla świadków i pokój dla aresztowanych, na I piętrze sekretariaty, gabinety sędziowskie, biuro notarialne. Zespół mieści się w dawnej spiżarni (2 × 2,5 m). Dochodzi się doń przez dawną kuchnię o kamiennej posadzce. Część kuchni odcięto przepierzeniem nie dochodzącym do sufitu, tworząc w ten sposób pokój o szerokości 1,5 m i długości przeszło 4 m. W pokoiku tym pracuje nas dwóch, w spiżarni zaś, zwanej obecnie gabinetem, kierownik zespołu. Gabinetu używamy nadto wszyscy do rozmów, szczególnie poufnych. Za kuchnią znajduje się maleńki korytarzyk z ustępami dla publiczności. Przy dużym ruchu drzwi przeważnie otwarte, więc „zapachy” walą wprost do naszego pokoiku, trudno zaś bez przerwy wybiegać z pokoiku, by zamknąć za każdym drzwi.

Przychodzimy zwykle do pracy przed godz. 9, chyba że w danym dniu są tzw. pyskówki, wyznaczone zawsze prawie na godz. 8, a rozpoczynające się zwykle między 9 a 10. Trzeba jednak przychodzić punktualnie o 8, gdyż sekretarka wywołuje sprawy o 8 (zwykle cała wokanda na 8!), niezgłoszenie się zaś po stronie oskarżyciela powoduje, jak wiadomo, umorzenie sprawy.

Jest piątek, 13 lipca 1963 r. W korytarzyku naprzeciw biura zespołu siedzi już parę osób. Składam teczkę na swym stoliku, wyciągam z niej Informator Prawniczy, otwieram szufladę z osobistą podręczną biblioteczką, otwieram szafę biurową, wyciągam maszynę do pisania i wychylam się przez drzwi do korytarza z szablonowym pytaniem: „Kto z państwa był pierwszy?”

Wchodzi pierwsza klientka. Okazuje mój list zawiadamiający, że zostałem ustanowiony jej pełnomocnikiem z urzędu do prowadzenia sprawy o odszkodowanie. Z grubsza sprawę znam, gdyż po przydzieleniu mi jej przejrzałem akta sprawy karnej. Męża jej przed dwoma laty dwóch młodych ludzi, sąsiadów, pobiło tak dokładnie, że w parę godzin po przewiezieniu do szpitala zmarł (złamanie podstawy czaszki, wylew krwi do mózgu). Sprawcy: J. K., liczący obecnie 23 lata, i S. B., o 4 lata młodszy; jeden syn zamożnego rolnika, drugi zatrudniony w dużym gospodarstwie rolnym brata. Obaj zostali skazani (jesień 1962 r.) na kary więzienia po 7 lat z art. 240 § 2 k.k. Wyrok nieprawomocny. Akta znajdują się jeszcze w Sądzie Powiatowym, gdyż dopiero co wpłynęły rewizje obrońców. Klientka składa żądane przeze mnie metryczki urodzenia dzieci oraz akt ślubu. Dzieci ma czworo w wieku od 2 do 9 lat. Zbieram informacje. A więc za życia męża dzierżawili gospodarstwo rolne z Państwowego Funduszu Ziemi o obszarze przeszło 5 ha, mieli 2 krowy, konia, parę świniazków, drób. Żyli względnie możliwie. Mąż pracowity, nie pił, nie palił. Koń i jedna krowa kupione za pożyczkę z Banku. Na koszty pogrzebu trzeba było sprzedać krowę. Konia sprzedała na pokrycie zaległości w Banku. Ziemi uprawia obecnie półtora ha; więcej nie jest w stanie

uprawić. Brak rodziny, która by jej mogła pomóc. Mleko od jednej krowy oddaje do mleczarni. Należność za mleko stale zajęta na zaległe podatki i inne świadczenia publiczne, gdyż brat jednego ze sprawców zabójstwa męża jest sottysem i pilnuje jej zaległości jak oka w głowie. Wypytuje o stan majątkowy i dochody za życia męża. Kobięcina płacze, pocieszam jak mogę i badam dalej. Po przeszło godzinnej rozmowie zaczyna mi już switać wysokość roszczeń. Robię notatki. Pytam o koszty pogrzebu, o koszty leczenia, wezwania karetki pogł.owia, która rannego męża zabierała. Koszty pogrzebu dość duże, bo sama trumna 850 zł, ubranie 800 zł, a do tego jeszcze koszula, skarpety, obuwie, „bo przecież do trumny musiał mieć wszystko nowe”. Nie dziwię się też, że przyjęcie po pogrzebie kosztowało 800 zł, że w związku z pogrzebem trzeba było sprzedać krowę, gdyż takie są — już od lat mi znane — obyczaje ludności z Wileńskiego, repatriowanej w te strony w latach 1945—1947. Wreszcie uzgadniamy: po 10 000 zł zadośćuczynienia dla niej i dla każdego z dzieci, koszty pogrzebu i przyjęcia 3 350 zł, a ponadto renta dla dzieci po 300 zł miesięcznie.

Klientka wychodzi uśmiechnięta. Widać zadowolona, bo i popłakała sobie, porozmawiała z adwokatem, który ją pocieszył, no i ma w końcu nadzieję na jakies odszkodowanie, a najważniejsze, że nic ją to nie kosztowało!

Wsuwa się następny klient. Proszę, by chwileczkę poczekał, sam zaś ładuję fajkę, zapalam i rozmyślam o sprawie.

Z tą sprawą zabójstwa męża pierwszej klientki coś nie jest w porządku. Sprawcy wprowadzie wykryci, siedzą już drugi rok, ale krzywda nie została naprawiona. Tak wdowa, jak i dzieci zabitego są w coraz to gorszej sytuacji życiowej. Chyba im niewiele pomoże świadomość, że sprawcy „dostali” po parę lat więzienia. Czy raczej w takich wypadkach nie należałoby dążyć przede wszystkim do uzyskania wynagrodzenia, i to jak najszybciej, wyrządzonej krzywdy? Czy w takich wypadkach nie powinien istnieć ustawowy obowiązek sądu przyznania wdowie i sierotom z urzędu, już w toku procesu karnego, odpowiedniego odszkodowania w postaci tymczasowego zarządzenia? Czy sprawcy już w toku postępowania karnego nie powinni być zobowiązani do płacenia — w jakiejś formie zabezpieczenia powództwa (podobnie jak to się robi w procesach alimentacyjnych) — pewnych kwot na utrzymanie? Czy zamiast beczynnego nudzenia się w więzieniu śledczym sprawcy nie powinni być tam zatrudnieni, a ich zarobek choćby w części przekazywany pokrzywdzonym? Przypomina mi się czytany niedawno artykuł pewnego chirurga, który w dyskusji nad projektem kodeksu karnego wysunął zupełnie trafną koncepcję, że kodeks powinien zawierać przepis zobowiązujący sąd do ustalania kosztów leczenia ofiar bójek i obciążać nimi sprawców. Ale dość rozmyślań. Czas na następnego klienta.

Wchodzi para starszych ludzi. Już z pierwszych zdań wiadomo, że mają po raz pierwszy w życiu kłopoty, które wymagają pomocy prawnej. Trzeba oboje usadowić na krzesłach, ośmielić przez towarzyszką pogawędkę. Podają więc tradycyjne pytania, skąd pochodzą, jak wielkie mają gospodarstwo, ile dzieci, w jakim wieku, które z dzieci jest przy nich itd. Gdy widać, że są już nieco „oswojeni”, pytam, co ich sprowadza. Babina wybucha płaczem. „Zły sąsiad” — mówi krótko. I płynnie opowieść, jak to przyjechali zza Buga w 1945 r., jak zajęli wspólnie z przygodnym znajomym duże gospodarstwo, przy czym przydzielono im je po połowie, jak następnie podzielili się domem i oborą oraz pozostałymi budynkami gospodarczymi, jak to żyli w zgodzie, jak nawet kapustę kwasili sąsiadki w jednej beczce, jak nawzajem sobie dokarmiały dzieci, jak sobie pomagali w polu, jak w obu rodzinach

wspólnie odprawili 9 wesel dzieci, a wszystko wspólnie, wszystko w zgodzie jakby w rodzinie. Ale potem ów dobry sąsiad sprzedał przed rokiem swą część, nowonabywcą zaś okazał się „jakiś łakomec” całkiem inny. Zabral im trzy jabłonki, ogroził część podwórza wspólnego, utrudniając dostęp do budynków gospodarczych, ciągle „bluźni” (tj. używa niecenzuralnych wyzwisk), a na wszelkie próby ugodowego załatwienia każe zwracać się do sądu, gdyż on dobrowolnie nigdy i nikomu jeszcze nie ustąpił. Debaturujemy teraz wspólnie. Rysuję plan obejścia według opowiadań babiny, wspólnie poprawiamy. Mąż jej siedzi spokojnie, głosu wcale nie zabiera, czasem tylko potakuje głową.

Próbuję zajrzeć do ksiąg wieczystych, ale bez skutku, bo prowadząca je urzędniczka jest na urlopie, a zastępczyni protokołuje na rozprawach.

Wracam więc do zespołu. Uzgadniamy, że spróbują jeszcze, by Komisja Rolna przy Prezydium GRN w N. skłoniła sąsiada do polubownego załatwienia sporu, a dopiero gdy nie dojdzie do skutku porozumienie w tej formie, skierujemy sprawę do sądu. Zgodnie z taryfą placą 72 zł, wpisuję do repertorium „D”, wypisuję kwit kasowy w 4 egzemplarzach, odcisk pieczęci zespołowej na kwicie, kwit wciskam kobiecie do ręki, żegnamy się i już minęła godzina 12.

Zanim zdążyłem odetchnąć, wpada kolega S., zrzuca toge, łapie z teczki torebkę plastikową z drugim śniadaniem i biegnie na śniadanie do kawiarni, mówiąc, że sąd zarządził przerwę. Wychodzę na korytarzyk, przepraszam ostatnią czekającą na mnie klientkę, że muszę wyjść na 15 minut, i również biegnę do kawiarni. Niedaleko. Tylko przez jezdnię po drugiej stronie ulicy. Kolega S. (chory na serce) pije cieką herbatkę, gryząc w pośpiechu kanapkę. Zamawiam dużą kawę (niskie ciśnienie, szybko się męczę, a kawa podnieca), jakies ciastko i chwileczkę gwarzymy o bieżących sprawach, spoglądając od czasu do czasu na trzeci od nas stolik, przy którym siedzi komplet sędzący dzisiaj wraz z prokuratorem. Niepisane miejscowe prawo nie pozwala na to, by adwokat, który występuje w tym dniu przed kompletem (sędzia + ławnicy), siedział w kawiarni przy jednym stoliku w czasie przerwy w rozprawie. Jeżeli żadne z nas nie występuje w danym dniu, siedzimy zwykle razem. Ale oto już sąd ruszył więc i my kierujemy się do sądu.

Zesiadam z powrotem w biurze zespołu. Czekająca klientka wchodzi zaraz za mną. Sprawa rentowa. Klientka wraz z całą wioską (z terenu byłej Liwy Kowieńskiej) była przesiedlona do obwodu jakuckiego. Całą rodzinę umieszczono w kołchozie, w którym pracowała przez 7 lat. W 1957 r., w ramach akcji repatriacyjnej, wrócili do Polski. Siostra jej, w wieku przeszło 60 lat, pracowała trochę, następnie zaczęła chorować i obecnie stara się o rentę. Oddział ZUS-u w Olsztynie odmówił przyznania reny, gdyż praca w kołchozie nie jest uważana za pracę najemną w rozumieniu dekretu o powszechnym zaopatrzeniu emerytalnym.

Oglądam powoli papierki, wyciągane z całej masy dokumentów, listów, fotografii, kwitów. Jest odmowna decyzja ZUS-u, jest karta repatriacyjna, jest tłumaczenie zaświadczenia kołchozu o pracy. Czytam raz i drugi decyzję ZUS-u. Wyciągam z podręcznej biblioteczki przepisy emerytalne. Przeglądam. W tym czasie przychodzą z rozpraw obaj koledzy. Przepraszam klientkę, wciskam się do gabineciku i referuję sprawę kolegom. Krótka wymiana zdań. Kolega S. przypomina sobie, że inny nasz kolega (z Olsztyna) miał kiedyś podobną sprawę.

Wracam do swej klitki, piszę odwołanie, pouczam klientkę, w którym miejscu jej siostra ma podpisać, i przypominam, by wysłać listem poleconym. Sama klientka jest rencistką o minimalnej, bo 260-złotowej rencie, wpisuję więc sprawę do reper-

torium „B” (sprawy załatwiane bezpłatnie). Trzeba jeszcze wysłuchać z grzeczną miną słów podziękii i na dzisiaj spokój, gdyż reszta klientów umówiona jest z moimi kolegami.

Ale też już jest i godz. 14.30.

Oczywiście nie zanotowałem, że w trakcie rozmów z klientami coraz ktoś wpada do zespołu z zapytaniem o kogoś z kolegów, o kasę sądową, o adres tłumacza przysięgłego, o to, czy jest ten czy ów adwokat z sąsiedniego miasteczka lub z Olsztyna. Kilka razy dziennie przychodzą panienki z sekretariatów sądowych telefonować, gdyż sąd ma tylko jeden telefon pilnowany przez naczelnego sekretarza, telefon zaś zespołu jest w naszym gabinecie, z którego każdy z nas wychodzi, gdy która z pań chce telefonować. Skorzystanie z naszego telefonu nic oczywiście nie kosztuje.

Zbieram powoli swoje szpangaly, pakuję do teczek i wracamy z kolegą do domu. Wlecemy się jak dziady, bo to i upał, i zmęczenie po 7 godzinach harówki. Gdy wchodzę na schody domu, w którym mieszkam, a drzwi zewnętrzne są już otwarte, słyszę głos żony: „Dlaczego znowu tak późno na obiad?”

Ale to już całkiem inna historia,

RECENZJE

Mieczysław Jarosz: *Wędrowki po ścieżkach wspomnień, Czytelnik, Warszawa 1963 r.*

Niedawny jubilat, którego 50-lecie pracy w zawodzie prawniczym obchodziła uroczyście adwokatura polska¹, wydał obecnie swe wspomnienia w postaci obszernej, gdyż aż 264 strony liczącej książki.

Fragmenty tych wspomnień znane są czytelnikom „Palestry”, w której były drukowane. Dotyczyły one nie tyle samego autora, ile nakreślonych przez niego — z wielkim znawstwem charakterów ludzkich — sylwetek wybitnych adwokatów warszawskich w okresie międzywojennym² oraz szeregu procesów, w których autor wy-

stępował w roli obrońcy, i wreszcie bardziej charakterystycznych postaci sędziów warszawskich — również z okresu międzywojennego³.

Fragmenty te nie dają, rzecz prosta, wyobrażenia o całości wydanej obecnie książki, tym bardziej więc nie charakteryzują dostatecznie autora, który — jeśli sięgać początków jego działalności — nie zawsze i nie tylko był adwokatem.

Tymczasem jeśli pominąć naturalne zainteresowanie każdego czytelnika, a zwłaszcza prawnika, należącymi już do historii postaciami sędziów i adwokatów warszawskich z okresu międzywojennego oraz jeśli pominąć „pitavalowską” część książki, to niewątpliwie najbardziej i — powiedzmy szczerze —

¹ „50 lat pracy zawodowej adwokata Mieczysława Jarosza” — Redakcja „Palestra”, nr 6/1962, str. 90.

² M. Jarosz: Sylwetki wybitnych obrońców warszawskich w okresie międzywojennym, „Palestra” nr 3/1957, str. 58 i nr 1/1958, str. 15.

³ M. Jarosz: Trzy po trzy — Wspomnienia, „Palestra” nr 10—11/1958, str. 42 i nr 12/1958, str. 42.